

Jakkolwiek wulgaryzmy niemal zawsze (choć z wyjątkami) są formą językowej agresji, raczej rzadko można je zaliczać do „mowy nienawiści”. Po pierwsze bowiem mogą być one całkowicie odpersonalizowane i nieadresowane do nikogo – jako tak zwane przeze mnie „przerywniki emocjonalne”, całkowicie oderwane od swoich znaczeń (z arsenału wulgaryzmów powszechnie znanych i stosowanych) lub jako budowane „na gorąco” i swoiście odkrywcze konstrukcje słowne służące li tylko wyrażeniu emocji, „stanu ducha”, złego lub dobrego nastroju.

Po drugie wulgaryzm w swej funkcji może być kwestią li tylko pewnej konwencji, umowy. Przypominam sobie przykład (niestety nie pamiętam, skąd go moja pamięć wzięła), kiedy to pani we wczesnej klasowo podstawówce upominała dzieci, aby się nie przezywały słowem małpa: „ty małpo”. Dzieciaki się podporządkowały. Aż w pewnym momencie jedno z dzieci z płaczem przyszło do pani się poskarżyć, że koleżanka powiedziała do niej „ty szkicu afrykański”. Pani nie zrozumiała, lecz się dopytywała i wreszcie zrozumiała: wszystkie dzieci znały okładkę „Płomyczka” czy „Świerszczyka” (bardzo dawne to czasy!), na której był kolorowy rysunek przedstawiający dżunglę i małpę na drzewie – z podpisem: „Szkic afrykański”. A skoro pani zabroniła dzieciom przezywać się per „małpa”, dzieci przyjęły swositą umowę społeczną i w jej ramach obelżywą „małpę” zamieniły na równoważnik, czyli „szkic afrykański”. Lecz ten „szkic” nadal funkcjonował jako wulgaryzm, słowo obelżywe i raniące.

Lecz i te wulgaryzmy bywają w praktyce językowej modyfikowane. Aby ewentualnie nie razić Czytelnika, przywołajmy „lżejszy” wulgaryzm, a więc: sukinsyn. Znaczeniowo, dosłownie: ‘syn sukii’. Przy deprecjacji (niezasłużonej) zwierząt, nazwanie kogoś „sukinsynem” było i zapewne bywa do dzisiaj – obelżywe. Ale przecież słowo to może być dźwiękowo wyrażone na rozmaite sposoby, nawet zupełnie zmieniające jego znaczenie w potocznym języku. Np. – pieszczotliwie i z podziwem (dla czyszego wyczynu, zasługi, odkrycia): *su--kinsyn; zdolny sukinsyn; co za niezwykły sukinsyn* itp. itd. Może też być zdrobnione (deminutyw) np.: „a to sukinsynek”. Ponadto rzeczywiste i pierwotne znaczenie tego słowa chyba u większości użytkowników języka uległo zatarciu (podobnie jak s...k...syn i wiele innych wulgaryzmów) i wyraża jedynie emocje, najczęściej negatywne i chwilowe.

Niejako „sztandarowym” przykładem nadmiaru wulgaryzmów stał się tzw. język wojskowy, a ściślej: kaprański. Piszącemu te słowa trudno powiedzieć (bo jest starcem), czy np. **obecnie** w naszym wojsku (lub w sąsiednich wojskach) – język taki panuje nadal. W przeszłości jednak z pewnością panował, o czym wie on z autopsji. Twierdzono (i było tak!) że przy pomocy tylko jednego jedynego słowa na „k” kapral potrafił wyrazić wszelkie odcienie swych emocji i stanu ducha, lecz także trwale wbić w umysły podwładnych wszelkie rozkazy, polecenia i informacje. A przy pomocy kilku innych tego

typu „odzywek” i „wyzywek” osiągnąć wiele zbiorowych sukcesów wojskowych. **Mimo to trudno byłoby owych kaprali (i również innych wyższych rangą) posadzać, że nienawidzili swoich podwładnych.** Ba, to „magiczne słówko” potrafiło też wyrazić ich uznanie, pochwałę, a nawet przyjaźń...

Dodajmy, że tzw. słowa grube, czyli wulgaryzmy, bywają rodzajem psychicznego „wentyla bezpieczeństwa”: taka czy inna „wiązanka” wyrzuca z jej autora nadmiar emocji, obniża jej poziom.

W niektórych społeczeństwach nadmierna presja „kultury zachowania” i jej stereotypów sprawia, że dany osobnik ileś tam setek czy tysięcy razy cedzi standardowe „przepraszam” i „proszę” (i różne pochodne grzeczności wyrażania się) nawet w sytuacjach wymagających (w warunkach naturalnych) raczej „dania komuś po pysku”, niż prawienia mu grzeczności. Wpojono mu bowiem od dziecka, że koniecznie trzeba być „kulturalnym”.

A nie każda norma obyczajowa jest zawsze słuszna tylko dlatego, że ją za taką przyjęto – wedle jakiejś „umowy obyczajowej”. I nie zawsze jest zgodna z tzw. naturą człowieka. Efekt? Np. taki, że tam, gdzie dostęp do broni jest dość powszechny, dany osobnik w pewnym momencie nie mówi już „niech pan będzie łaskaw dać mi spokój”, lecz wyciąga broń, której użyje lub nie, lecz najczęściej – jeśli już wyciągnął, to wystrzeli. Albo – nic nie mówiąc – spoliczkuje kogoś. Tymczasem mógłby jakiegos „winowajcę” (za jego chamskie zachowanie) walnąć na odlew słowem, które tamten by, najczęściej, zrozumiał, i na tym by się skończyło – bez użycia ręki.

Ostatecznie zmierzam do tego, by twierdzić, że **tzw. mowa nienawiści całkowicie niesłusznie utożsamiana jest z mową wulgarną.** Oczywiście mowa wulgarna może towarzyszyć mowie nienawiści, ale **nie musi** i stosunkowo rzadko towarzyszy.

Tymczasem, nie stosując ani jednego wulgaryzmu, jakaś liczba ludzi, zwłaszcza polityków, potrafi wygłaszać tyrady tak przesycone nienawiścią jak koszula Dianiry trucizną. I nie musi temu towarzyszyć nawet ton w sensie dźwiękowym „nienawistny”. Wystarczy komuś przypisywać (imputować) najgorsze intencje, kłamać o nim, wygłaszać półprawdy, ignorować to, co dobre (w kimś lub o kimś), a przywoływać tylko to, co złe (same wady, żadnych zalet), stosować słowa i konteksty pogardliwe, krasić mowę złośliwościami, czytelnymi sugestiami niewyraźnymi wprost; można by długo wymieniać sposoby z bogatego arsenału mowy nienawiści.

Niemniej – i tak będą to opisy dalekie od definicji, pozostając intuicyjne (jako oparte tylko na praktyce obserwacji i odczuć), odbierane często bardziej „naskórkim” niż intelektem, a zarazem wedle panującej umowy społecznej, kwalifikującej słowa, zdania i zachowania do obraźliwych lub nie; do takich, które są „prawdziwie nienawistne” i do takich, co są tylko wyrazem chwilowej emocji.

Zbiór możliwości jest bardzo szeroki, dlatego, na koniec, przykład:

Dwóch rozmówców w telewizji. **Jest między nimi istotna różnica zdań.** Pierwszy przedstawiony jest na dole ekranu (na „pasku”) jako „doktor X” (skądinąd jest to mniej znana na ekranach TV osoba), drugi jako „profesor Y” (osoba od dawna i powszechnie w TV znana). Pierwszy zwraca się do drugiego z pełnym szacunkiem „panie profesorze”, a drugi? Drugi za każdym razem (często!), ostentacyjnie i z naciskiem, zwraca się do niego „panie magistrze”. Najprawdopodobniej na skutek pomyłki redakcji TV (jeśli jest to pomyłka) pana X przedstawiono na pasku jako „doktora”, a pan X w rzeczywistości jest magistrem, o czym akurat pan profesor Y wie, lecz o tej pomyłce nie wiedzą widzowie. Widz i słuchacz nabiera zatem (albo może nabrać) przekonania, że to **pan X fałszywie się przedstawił redakcji TV jako człowiek ze stopniem doktora**, co właśnie jest „obnażane” przez czujnego pana profesora Y.

W trakcie dyskusji na telewizyjnym planie **nie bardzo jest jak „oficjalnie” prostować**, w dół pomyłki – mało przecież istotnej dla meritum dyskusji – czyli sprowadzać pana X z poziomu „doktora” do „magistra”, skoro czyni to już pan profesor Y. Prowadzący spotkanie redaktor znalazł się więc w kropce. Nie może tego prostować, nie przenosząc zarazem dyskursu na boczny tor. Zwraca się więc do pana X już tylko „panie X” (nie „panie magistrze” czy „panie doktorze”), inteligentnie nie przesądzając, czy pan profesor Y jest w swej pogardzie dla Pana X **tylko** złośliwy, **bo pan X doktorem faktycznie jest**, czy też pan profesor Y **ma rację** – jakkolwiek rację niekonieczną dla dobrego obyczaju, aby ją publicznie podkreślać, dlatego nadal złośliwa.

I teraz ja, piszący te słowa, zapytam nieco „grubszym” językiem: *I który z tych panów jest chamem; który z nich publicznie darzy rozmówcę pogardą, a zarazem wprowadza w zakłopotanie redaktora prowadzącego program?* Pytanie, oczywiście, retoryczne o tyle, że odpowiedź narzuca się sama. A cały dyskurs odbył się, przecież, kulturalnie...

A teraz wyobraźmy sobie, że pojęcie „mowy nienawiści” pojawia się w obrocie prawnym: zamiast cenzury – co za raj dla sądów i kryminałów! Jak nie kijem, to pałką. Nareszcie, wtedy, skuteczny kaganiec dla wolności słowa...

Harry Duda

